Lwów 25. Października №127. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Dwa dyplomy szlacheckie.

Zostawiliśmy bohatyra naszego w domu rodzicielskim, oczekując na powrót ojca z Nieświeża. A radby się go był doczekał jak najprędzej, bo czuł się rzeczywiście niezdrowym, a w zimnej śpiżarni nie bardzo mu było wygodnie. Prócz tego radby już przebyć pierwsze chwile przywitań w których spodziewał się niemało usłyszeć wymówek. W rzeczy samej sam sobie przyznawał, że zasługuje na nie poniekąd. Nie dla tego aby postępowania jego były zdrożne; przeciwnie pan Jan Drzwiowski był w całem tego słowa znaczeniu szlachetnym młodzieńcem, skłonnym do uczuć wzniosłych i prawych czynów. Szczery, otwarty, przyjacielski, z sercem i głową otwartą, należał on do lepszej młodzieży owoczesnej, zdolny jak wiemy większych nawet poświęceń, których tyle, lat kilkanaście poźniej, dzieje nasze do swych wiekopomnych kart zapisały. Ale prócz swych dobrych własności, miał przywary swojego czasu, do których głównie należała nieoględność na jutro, trwoniąca dzisiaj wszystkie zabytki ojcowizny, umysłowe, moralne i finansowe. Maxym lepszy w tem od drugich nie trwonił cnót i obyczajów ojczystych, w zamian na nowe zagraniczne wymysły, on trwonił tylko pieniądze, a których jeżeli mu kiedy brakowało umiał je na rzecz znacznego majątku ojcowskiego wydobyć z rąk lichwiarskich. I mniej on trwonił dla siebie. Przyzwyczaił się zapewne idąc za przykładem swoich współczesnych, żyć życiem wykwintnem i wygodnem, ale nie tracił na owe wszystkie zachcenia kapryśne, wynikające z zepsutego gustu i obyczajów, jakiemi odznaczało się owoczesne życie społeczne w Warszawie; on tracił najwięcej przez nieoględną dobroć serca, które wraz z kieszenią stało zawsze otworem dla mnogich w onym czasie spekulantów i awanturników, którzy żyli z dnia na dzień, cudzem życiem, cudzą kieszenią, często nawet cudzem szczęściem, cudzym honorem, aż póki nas w domu za cudze nie sprzedali pieniądze.

To była wszakże wada najprzykrzejsza dla ojca naszego bohatyra, który przyszedłszy do znacznej fortuny per fas et nefas, wielkie miał do niej przywiązanie, i uszanowanie tem większe, im więcej czuł, że jej tylko winien jakie takie w świecie znaczenie. Stary Drzwiowski chciwym był za młodu, chciwością przyszedł do majątku, nic więc dziwnego, że na starość stał się skąpym. Dla jednego syna, którego kochał prawdziwie jak jedynaka, więcej czynił niżeliby dla siebie samego czynić potrafił, posyłając mu corocznie znaczne bardzo fundusze. Zdało mu się tedy że ma prawo żądać od niego, aby nic więcej nadto nie tracił. Tymczasem dochodziły go ciągłe wieści, donoszone mu nawet, jak się zdaje, o czem i syn wiedział, naumyślnie przez zawistnego nieprzyjaciela jakiegoś, iż pan Jan na pańskiej żyje stopie, i że prócz znacznego rocznego dochodu potrzebuje jeszcze co rok nowe znaczne zaciągać długi.

Z tych więc powodów pan Jan znając ojca, oczekiwał srogich wymówek, i radby już je raz przebył. Aby się wszakże na nie przygotować i zmniejszyć je o ile można, położył przy łóżku w którym spoczął blaszaną puszkę a na niej ów list, pieczęćmi wielkiemi opieczętowany, list króla do carowej.

I dobrze bardzo wyrachował; ledwie bowiem przyjechał ojciec z Nieświeża, i dowiedziawszy się o przyjeździe syna co prędzej wbiegł do niego z czołem namarszczonem, zmiękł od razu, postrzegłszy szczerzącą się ku niemu ogromną królewskiego listu pieczęć. Uczuł dla niej rodzaj uszanowania, podobnym jemu ludziom właściwego, które spadało nawet i na syna.

Uścisnął go też najserdeczniej, i w duszy postanowił nie nagabywać go przygotowanemi wymówkami.

— Drogi Jasiu! wyrzekł z słodkim uśmiechem, ostatnim razem witałem w domu moim syna, dzisiaj witam posła króla jegomości. Ale dla Boga tyś chory, wyglądasz mi bardzo blado. Żeby tylko słabość twoja nie przyniosła zwłoki w powierzonem ci poselstwie, które zapewne musi być nagłe i ważne.

To rzekłszy wziął w rękę list i puszkę, która mianowicie ciekawość jego rozbudziła. Lecz daremnie obracał ją na wszystkie boki, nie mógł dójść, co w niej było, ani też od syna się dowiedział, który jak wiemy nic także nie wiedział, i wiedzieć nawet nie był ciekawy.

— Przecie ambassador, dodał stary, powinienby wiedzieć o treści swego poselstwa?....

Jakkolwiek bądź, poselstwo to nie mało panu Janowi przyniosło korzyści, bo go ojciec zaraz do bawialnego kazał przenieść pokoju, i nietylko sam z największą pilnował ostrożnością, ale i Filtańskiemu wszelką mieć o synu pieczę polecił. Pan Jan opływał we wszystko, jak pączek w maśle, niemniej przeto zaniemógł, i z łóżka wstać nie mógł. Na zaszczyt jego serca powiedzieć trzeba, że główną słabości przyczyną był niepokój o Anusię, od której tak dawno żadnej nie miał wiadomości, tęsknota za nią i niechęć oddalenia się na czas nieograniczony od niej, i od ojczyzny, którą nasz bohatyr prawdziwie szczerem miłował sercem. Pan Jan mimo życia dość roztrzepanego, jakie go w Warszawie zewsząd otaczało, z powszechnem w ówczas godłem lekkości i niestałości w miłośnych stounkach, kochał Anusię całem sercem, i znudzony tem życiem bez celu i jutra, przesycony rozrywkami warszawskiemi, które wyższy i szlachetniejszy umysł jego w niczem zaspokoić nie mogły, wzdychał za życiem spokojnem, domowem, obok kochanej żony, wśród pożytecznych zajęć gospodarza, ojca rodziny, sąsiada i obywatela. Jeżeli wszelkich używał mniej nawet z prawością zgodnych środków, by zostać szlachcicem, środków z resztą wówczas powszechnym zwyczajem uświęconych, robił to nie tylko dla Anusi, której nie mógł inaczej mężem zostać, ale miał on potemu i inne szlachetniejsze pobudki. Rozumiał on dobrze owoczesne położenie ojczystego kraju, i silnie pojmował święte dlań obowiązki, z którychby należycie i z pożytkiem się wywiązać, wiedział dobrze, że tylko uznane szlachectwo nada mu prawo i środki.

Słabość syna zaczęła ojca niepokoić coraz więcej. By prawdę wyznać, nie tyle mu szło tym razem o syna, ile o królewskiego posła, którego ta niemoc wstrzymywała w wypełnieniu powierzonej mu missyi. Nie zważając zatem na wydatki których nie był przecie przyjacielem, wyprawił bez wiedzy syna najlepsze konie do Nieświeża po pobocznego lekarza księcia Radziwiłła, który wielką miał w okolicy reputacją, już to jako lekarz nadworny takiego pana, już to i głównie, jako anglik rodem.

Lekarz wnet przybył. Był to stary już człowiek, ale rzeczywiście bardzo biegły w swej sztuce lekarz, i mnogiem doświadczeniem obdarzony. Od razu poznał, że w chorobliwym pacjenta stanie najwięcej przemaga niepokój moralny. Zostawszy więc z nim sam na sam, żądał od niego by mu się szczerze wyspowiadał. Jan poznawszy z rozmowy poczciwe chęci lekarza, opowiedział mu wszystko, i przyznał się do wszystkich miotających nim uczuć. Uśmiechnął się lekarz, i zapewnił go, że będzie zdrów zupełnie, ale musi się zupełnie radom jego poddać. Znając dobrze starego Drzwiowskiego, do niego wprost poszedł i przybrawszy minę zamyśloną i smutną, oświadczył mu że go zdrowie pacjenta mocno niepokoi.

— Jakto? zawołał stary bledniejąc, on bardzo słaby....

— Nie strasz się pan naprzód; ja tylko powiadam, że pod pewnemi warunkami stan syna pańskiego wzbudzać może obawę....

— Doktorze, na miłość boga ratuj go! on jest posłem królewskim.... on jest moim jedynakiem! dodał po chwili, poruszony szczerem uczuciem ojcowskiem.

— Chciej pan wysłuchać spokojnie. On potrzebuje długiego pokoju.

— Długiego?.... a podróż jego z polecenia królewskiego.

— Może go zabić!

— Tak młodego? co mówisz doktorze.

— Młodsi umierają.

— I czy długo musi odpoczywać?... zagadał stary folgując już.

— Tego naprzód nie mogę oznaczyć; to tylko mogę z pewnością powiedzieć, że przy rozdraźnieniu jego nerwów. i affekcyi płucowej, rozciągającej się aż do serca które jak pan wiesz jest właściwem siedliskiem życia ludzkiego.... affekcyi która o ile uważam po pocie, i innych znamionach gorączkowych....

— Kończ pan, na miłość boga! przerwał na prawdę przestraszony ojciec.

— Coraz więcej się wzmaga, kończył lekarz z flegmą, i coraz niebezpieczniejszej nabiera cechy, podróż każda może stać się zgubną...

— Ale jak odpocznie?...

— Podróż zaś ku północy, której klimat na osłabione piersi działa najokropniej, stanie się z pewnością dla pacjenta podróżą.... ostatnią.... śmiertelną!...

— A więc niech nie jedzie, krzyknął ojciec! zapomniawszy już o pośle królewskim, a pamiętając tylko o synie.

Przykro było staremu wyprzeć się spodziewanych zaszczytów, jakie miały spaść na syna po wypełnionem poselstwie, ale jeszcze przykrzej było wystawić syna na niebezpieczeństwo życia. Stanęło więc na tem, że należało co prędzej odesłać do Warszawy list królewski i blaszane pudełko. Wprawdzie pan Loran na nowe jeszcze wpadł koncepta, między któremi najpocieszniejszą była myśl, czyby sam nie mógł tę drogę do Petersburga odbyć. Na to powiedzenie roześmiał się lekarz, roześmiał się i syn, a Filtański wyrzekł z najzimniejszą krwią:

— Ale napisz jegomość pierwej testament!...

Stary spojrzał tylko na starego towarzysza, i nic nie odpowiedział, ale też i o podróży nic już więcej nie wspominał. Testamentu bał się równie śmierci, czyli raczej jednego bez drugiej nie rozumiał.

Wybrał tedy najlepszego konia i najsprytniejszego posłańca, którzy czekali już gotowi na posełkę przygotowywaną przez pana Jana. Nasz bohatyr napisał do pana Kierekieszy list pełen uprzejmości, a co najwięcej obciążony

znacznym datkiem pieniężnym. Tłumaczył się w nim słabością, w której dowód przyłączył poświadczenie lekarza, i zaklinał go, aby wydobył i przysłał mu wiadomy dyplom, zaręczając pod słowem honoru, że za przyjazdem do Warszawy dopłaci mu jeszcze drugie tyle. Gdy już list był zaadresowany, pokazało się na szczęście pana Jana, że lekarz księcia Radziwiłła znał doskonale pana Kierekiesza, i miarkując, że Janowi idzie o jakowąś rzecz bardzo ważną, przyłączył także list swój do Kierekiesza, przypominając żądania swego pacjenta, jakkolwiek sobie nieznajome, wpływem swoim.

Po odejściu posłańca pan Jan codzień był spokojniejszy, a tem samem codzień zdrowszy, i już tylko marzył jakby najprędzej wrócić do Korony, odwiedzić Radomskie i dowiedzieć się o kochanej Anusi.

Ojciec raz już przebolawszy stratę marzeń swych ambitnych, coraz więcej zbliżał się do syna, do którego mimowolnie ciągnęło go serce ojcowskie, i niezapomniany jeszcze przestrach, słowami lekarza wzbudzony. Rozmawiał z nim często i poufnie, wykrył mu nawet bez ogródki cały stan swój majątkowy. Syn odpłacał ojcu ufność ufnością, i nieraz przepraszał go za niepotrzebną rozrzutność swoją, a nawet przyznał mu się do miłości jaką czuł do Anusi. Wyznanie to przyjął ojciec z radością. Od dawna było to jego największem życzeniem, aby się syn jak najprędzej ożenił, a tem samem ustatkował i wziął się do gospodarstwa. Zapewne życzyłby może synowi bogatej żony, ale głównie mu szło o połączenie się z rodem jakim znakomitym.

— Bo to w koronie piękne są rody chociaż podupadłe, mówił pan Loran, nieraz w nich błądzą stołki senatorskie.

Wolska z Wolskich herbu Grzymała bardzo mu się podobała.

Najzabawniej było że przy całem przywiązaniu i szczerem wylaniu, z jakiem ojciec i syn rozmawiali między sobą, mieli przecie wzajemnie jeden sekret. Sekretem tym było szlachectwo, o które jak już wiemy oba się starali najtroskliwiej. Ojciec synowi nic nie mówił o już uzyskanem szlachectwie za pomocą księcia Radziwiłła, a syn przed ojcem taił nadzieję jaką miał uzyskania go za pomocą Kierekieszy. Oba chcieli sobie nawzajem zrobić siurpryzę, a może i oba inne mieli wyrachowanie.

Nadeszła wreszcie gorąco oczekiwana odpowiedź z Warszawy. Łatwo pojąć z jakiem gorączkowem uczuciem porwał Jan za przysłany sobie pakiet, którego grubość miłą w nim wzbudzała nadzieję. Otworzył wreszcie, spodziewany dyplom znajdował się w nim. Poczerwieniał pan Jan z radości, i co prędzej schował go pod poduszkę, słysząc nadchodzącego ojca.

Ale za to wieczorem, gdy się sam został, dobył z pod poduszki szlachecki pergamin, i jął mu się przypatrować z niewymownem radości i zadowolenia uczuciem. Wszystko wydało mu się piękne, i pargamin, i złociste na nim litery, i pieczęć królewska, i wyraźny króla podpis. A osobliwie sam herb, ślicznemi barwami wymalowany, wydał mu się dziwnie piękniej, bo znacznie piękniejszy od innych.

— Ta Wieniawa to przecie śliczny herb! prawdziwie szlachecki herb, pełen znaczenia heraldycznego.

A przez ścianę siedział stary pan Loran przy staroświeckiem biórku, i dobył z szuflady papier jakiś. Był to także pergamin, także herb świetnemi barwami malowany.

— Ten Pomian, mowił stary pan do siebie, to herb nad herby, herb prawdziwie szlachecki, klejnot najstarszych i najznakomitszych rodów.

— Nie ma jak Wieniawa!

— Nie ma jak Pomian!... mówili obydwa przez ścianę.

— Żeby to ojciec wiedział, jak by się cieszył szlachectwem, ale nie powiem mu, teraz przynajmniej, bo gotów się rozgniewać że niewyrabiałem na jego nazwisko.

— Mój Jaś ze skóry by wyskoczył, gdyby się dowiedział że jest szlachcicem. Ale ja mu teraz jeszcze nie powiem, bo chłopiec bondziuczny, zdumiał by do reszty, i dopiero by zaczął żyć z pańska. Niech się trochę piwko ustoi, niech się chłopiec ustatkuje.

Tak się wieczorami bawili oba, co dzień prawie kryjąc się jeden przed drugim.

Przyszedł wreszcie nasz bohatyr do zdrowia, i oświadczył ojcu że musi odjechać.

— Jedź synu, wyszukaj swoją pannę i żeń się. Im prędzej tem lepiej. Masz moje błogosławieństwo na drogę....

Ale prócz błogosławieństwa dał synowi parę kwart starych dukatów, które dobył z kuferka pod głową stojącego.

— Masz tu synu! dodał stary na wyprawę i pierwsze zagospodarowanie.

Syn ucałował ręce ojca, dukaty zabrał, siadł na pocztę, i poleciał gościńcem do Korony wiodącym, a myśli jego goniły naprzód na wyścigi z westchnieniem, wysłanem ku pięknej i kochanej Anusi.

Warszawę przejechał tylko, i pogonił do Radomia. Ledwie się rozgościł w dobrze znajomem sobie miasteczku, zaczął się zaraz dowiadywać co się tam dzieje w Powiatówce.

(C. d. n.)

Oczy anioła.

Burza na dolinie,
Burza ponad wody, —
Wodą łódka płynie,
W łódce sternik młody.

Westchnął sternik młody
Do anioła stróża,
By ucichły wody,
By ustała burza!

Słyszał aniołeczek,
Jak się sternik żalił,
I dwoje gwiazdeczek
Na niebie zapalił.

I cicho listeczki
Zadrżały do koła, —
Bo te dwie gwiazdeczki
To oczy anioła.

Sterniku! sny twoje
Już toną w lazurze, —
A mnie oczu dwoje
Prowadzą na burzę!...

J. C. Z.

Sceny z najnowszych podróży.

Valparaiso.

Valparaiso znaczy po hiszpańsku: dolina raju, co dowodzi tylko że na całym świecie jednakowo kłamią. Miasto to leży w głębi wielkiego półkoła; na prawo sucha i stroma skała wisi nad morzem, na lewo brzeg piasczysty; a dalej w głębi pagórek bez zieloności. Tak wygląda krajobraz który ma być doliną raju. W takiem otoczeniu miasto samo wygląda jak by tam przypadkiem spadło. Widok cały nadzwyczaj jest smutny, przykry, wyraźnie ściska za serce. Nic tam nie żyje, nie przemawia, nie uśmiecha się. By choć jeden klombik drzew przerwał monotonne wrażenie, jakie sprawiają te słońcem palone dachy. Zdaje się czuć, że miastu temu brakuje powietrza, że jest tak ściśnione, iż nawet odetchnąć nie może, a widząc jak kąpie swe stopy w cichych falach spokojnego Oceanu, mimowolnie na myśl przychodzą męki Tantala.

Przystań w Valparaiso bo właściwego niema tam portu, jest piękna i obszerna; trzysta wielkich statków może się w niej pomieścić. Jakoż miasto to jest placem handlowym, jednym z najbogatszych i najważniejszych w Ameryce południowej; zdybują się tam wyroby i produkta świata całego; sama Francyja corocznie winami swemi i zbytkowemi wyrobami prowadzi handel na kilka milijonów.

Lecz już stanęliśmy w przystani; czas już wylądować i przypatrzyć się zbliska miastu, które jest drugiem miastem w rzeczypospolity Chylijskiej.

Wyznać trzeba że po wylądowaniu zmienia się postać rzeczy, i to na korzyść miasta. Z dala wydawało się miasto jakby martwe zupełnie, a tymczasem jest pełne życia; tylko że to całe życie odbywa się jakoś bez wielkiej wrzawy, wózki toczą się cicho po piasku, a konie stąpają bez stukotu bo niekute. Zewsząd wszakże ruch ogromny i roznorodny, mianowicie co do rozmaitości strojów ludu, który kocha się w kolorach jaskrawych, i dziwnie malowniczo wygląda w swym starożytnym *Pancho* [rodzaj płaszcza] w butach aksamitnych lub wełnianych, i małym kapeluszyku z Panamskiej słomki. Strój ten przedewszystkiem uderza oczy Europejczyka.

Jest to coś co nie jest Włochami, nie Hiszpanią już, i nie Francją jeszcze, ale przypomina każdy z trzech krajów z jakiegoś miłego stanowiska. Cały ten plac nad morzem to istny Arlekin; swego odrębnego nic nie ma w sobie, ale tak jak jest, robi wrażenie stokroć przyjemniejsze, niżeli te niby ogrody angielskie, któremi za naszych czasów tak lubią bawić wszystkie nad obu oceanami leżące skały.

Nie długo wszakże trwało to moje uczucie, oderwane od zwykłych wrażeń, miłe samą oryginalnością swoją. Wnet bowiem zbudził mnie z marzeń jakiś ajent policyjny.

— Gdzie paszport? przemówił do mnie, z tą uprzejmością, która zdaje się im być wszystkim właściwą.

Oddałem paszport z całą filozofią jaką nabywa każdy człowiek do europejskich podróży przyzwyczajony, gdy nowy jakiś jegomość, ustrojony w mundur, zbliżył się do mnie, trzymając w ręku swój rożen rewizorski.

Otworzywszy mantelzaczek, podniosłem oczy w górę i przeczytałem na murze.

Piazzuela de la duana [plac komory].

I pomyślałem sobie, wartoż to być nowym zupełnie ludem, aby zaraz zaprowadzić u siebie wszystkie zwyczaje starej Europy.

Idę do miasta, wchodzę do hotelu Aubry, który ma być najlepszym hotelem. I znowu jestem w Europie, i to w jakiej jeszcze, hotel to bowiem jakby w Calais, albo Douvres z swemi dzwónkami, numerowanemi pokojami i zwykłemi po pokojach rycinami. Rób-że teraz sześć tysięcy mil, aby podobne zdybywać rzeczy. Lecz nie dosyć na tem.

Wychodzę na ulicę, szukając starego hiszpana do którego miałem list, i gdzie tylko okiem rzuciłem, zdybywałem na domach i sklepach same napisy francuskie. Czytając ciągle M*** Coiffeur de Paris; M*** Bottier de Paris; Mademoiselle*** modiste de Paris, myślałem prawdziwie, że jestem w jakiem prowincionalnem mieście francuskiem. Ledwie minęło 24 godzin, dowiedziałem się że Valparaiso znany jest wszędzie pod nazwą małego Paryża.

Nie miło się mi zrobiło, bo ja przecież Amerykę widzieć chciałem, Amerykę z tą ziemią urodzajną, górami olbrzymiemi, płaszczyznami bezgranicznemi, i dziewi-

czemi lasami, a nie jakieś smutne wszędzie małpowanie tej europejszczyzny, którą wszyscy jesteśmy już tak przesyceni.

— Na miłość Boga! przemówiłem do mego hiszpana, który mnie przyjął z tą starodawną hiszpanów gościnnością. Z kądże się u was wzięło to wściekłe małpowanie?...

— Wścieklizna ta, odrzekł, nie od nas pochodzi.

— Od kogoż więc?

— Od naszego gubernatora, człowieka zresztą zacnego i mającego najlepsze chęci. Przebiegł on Francją koleją żelazną, a Paryż kabrioletem, i sądząc rzeczy powierzchownie, zdało mu się najmądrzejszą rzeczą, nadać nam francuską powierzchowność. A serca hiszpańskie mogą niemi zostać, jeżeli zechcą lub potrafią.

Od tej chwili chodziliśmy ciągle razem z Don Manuelem, on był Cyceronem moim.

Przedewszystkiem wróciłem na ów plac celnej komory, który mi się życiem swojem różnobarwnem tak bardzo podobał. Pełno było na nim jak zawsze, a wszyscy, czy żołnierze, czy majtkowie, czy robotnicy, czy ludzie policyjni, biegając tam i sam, przechadzali się z tą postawą poważną, uroczystą i zajętą, jaką mieć zapewne musiała dawna ludność hiszpańska, gdy jeszcze była Hiszpanją.

— Omyliłbyś się pan! ozwał się don Manuel z swoją zawsze drwiącą miną! wszyscy ci ludzie nie są tak zajęci, jak raczej zajętych udają. Chylijczyk już taki z natury, krzyczy, udaje pośpiech, biega szybko, żywe strojąc miny. Ale na tem się też kończy całe jego zatrudnienie.

— Zdaje mi się, że jesteś pan za surowy dla ziomków swoich.

— Cóż to pan nazywasz ziomkami memi?.. ludzi, którzy mieszkają w jednym zemną kraju i pod jednem niebem?..

— Takie przynajmniej w tej mierze powszechne jest zdanie.

— Nieporozumienie i nic więcej. Podług mnie prawdziwym ziomkiem jest ten, który się nie zaparł dawnej wiary i pozostał wierny obyczajom ojców swoich, zwyczajom kraju swego, który w pośród tego wszystkiego kształci i umie postępować ku przyszłości. Może kto nie dzielić mego zdania i powiedzieć, że takie pomieszanie plemion jest dziełem opatrzności i że szczęśliwemi mienić się powinniśmy, iż zostaliśmy trochę Francuzami, Anglikami, Amerykanami, a nawet trochę żydami. Niech i tak będzie. Ale ja powtórzę zawsze, że właśnie dla tego widzę tu ludzi, ale nie widzę ziomków.

— Przecież nie sam jedem jesteś pan tego zdania?

— Prawdziwie nie wiem. Handel jest to ów trójkąt równości, który wszystkie ludy zgina i równa. Duch handlowy zgubił nas. Ale ponieważ mówimy o handlu przypatrz się pan temu budynkowi.

— Jakby kościółek z wieżyczką i zegarem?...

— Ten sam. Jest to komora, podobna do wszystkich komor na świecie i z resztą do czego kto zechce. To też ciekawość tego budynku nie w kształcie powierzchownym spoczywa, ale w szczególnych środkach ostrożności, jakich staje się powodem, i które doskonale malują usposobienie Chylijczyków. Wyobraź pan sobie, że wieczorem, gdy już zebrany jest całodzienny dochód, minister komory, bo my mamy ministrów na każdą rzecz, minister tedy oddaje klucze od kasy do właściwego urzędu i takie jest wzajemne zaufanie naszych urzędników, że żaden z nich nie mógł się na to zdecydować, by który z jego kolegów nocował przy kasie.

— Jakiż więc sposób na to wynaleźli?..

— Przecięli węzeł jak Aleksander. W nocy nikt nie spi w komorze, którą zamykają na mocne kraty. Zewnątrz tylko żołnierz na warcie pilnuje, by się nikt do skarbcu nie zakradł.

— Dowcipny środek.

— Nieprawdaż, a przecie powiadają, bo co ludzie nie powiedzą, że któregoś roku w czasie wielkiego tygodnia, trzech bardzo zacnych złodziei weszli za porozumieniem się z wartą do świątyni złota i tam należycie świątkowali.

Valparaiso po prawdzie powiedziawszy, jedną ma tylko ulicę, prawda że ta ulica wcale nie prosta. Domy wszystkie są o jednem piętrze z powodu częstych trzęsień ziemi; otacza je balkonik drewniany, nakształt krytej galeryjki, a na wierzchu wznosi się sztandar jakby maszt jaki, na którym co święta i niedzieli powiewają barwy krajowe, składające się z pola czerwonego i pola białego, środkiem których unosi się niebieski statek. Wszystkie te domki mają powabną powierzchowność, odznacza się między niemi pomieszkanie jenerała Cortez szczególnie wytwornym wdziękiem. Nie ma w nim pewnego stylu, pewnej szkoły, ale jest nadzwyczaj szczęśliwa mieszanina. Już to podobno taka właściwość Chylyjczyków, jak w budynkach tak i w pożywieniu przeważa *olla podrida.*

Almendral, miejsce do przechadzki przeznaczone, obszerniejsze od samego miasta, jest niczem innem, jak tylko wielkim gościńcem, pełnym prochu, na którym darmo byś choć jednego szukał klombu. Za to na przeciwnej stronie ciągnie się przechadzka nadbrzeżna, w której przynajmniej świeżego powietrza użyć można, i którą arystokracja mieszczaństwu zostawia.

Nic więcej malowniczego, poetycznego i wzniosłego, jak te przechadzki nad morzem gdy już noc zapadnie. Na prawo ciemna skała jakby olbrzym drzymiąca na falach; na lewo morze uderza o brzeg, z całym dźwiękiem tysiąca głosów dzikich i harmonijnych; a tam w głębi promienieje miasto rzęsistem światłem, jakby jakie miasto fantastyczne z czarodziejskiej bajki. W Valparaiso bo-

wiem nie ma jeszcze publicznego oświetlenia, ale każdy właściciel domu obowiązany jest powiesić nad bramą zapaloną latarnię. Obowiązek ten, który ma na celu zapewne rozszerzać o ile można rozchód świec a tem samem opiekować się wyrobem łoju, najważniejszym niemal w Chili; obowiązek ten nadaje miastu cudownie piękną powierzchowność; a że miasto stoi na półkołowem wywyższeniu, zdaje się prawdziwie, że każdy dom ma gwiazdę na czole.

Valparaiso ma oczywiście teatr. I trzeba wyznać że ten teatrzyk nie tyle z wierzchu jako budynek, ale w wewnętrznem swojem ułożeniu jest bardzo piękny. Scena jest dosyć obszerna i nieźle malowana. Teatr ten kilka już razy zniszczony został przez trzęsienie ziemi; ostatni ma tylko dwa piętra i spodziewają się, że się dłużej utrzyma, a na najgorszy przypadek postawią jeszcze jeden. Teatr jest ulubioną zabawą mieszkańców Valparaiso, mianowicie kobiet, z których najpiękniejsze, najmłodsze i najwytworniej ubrane schodzą się tam zawsze. I jak w Neapolu, jak w Wenecyi, Mediolanie piją sobie sorbety, zajadają ananasy, ciasteczka, bawią się głośną rozmową o miłości, modach i polityce; kurzą cygara, kochają a nawet ściskają się; jednem słowem wszystko robią, wszystko prócz — słuchania aktorów.

I zaprawdę dobrze robią, bo nie bardzo warto słuchać; aktorowie bowiem są bardzo mierni. Byliśmy razy kilka na teatrze; pomiędzy innemi byliśmy nawet na przedstawieniu Lucji z Lamermooru, odśpiewanej przez włoskich artystów, którzy głosy swoje zostawili w Europie, przy orkiestrze składającej się z fortepianu, dwóch skrzypców, basetli, pikolina, waltorni i trąbki.

Właściwym celem bywania w teatrze jest wspólna zabawa, rozmowa i miłośne intrygi, dla których teatr ten jest prawdziwie ósmym cudem świata; bo jeżeli nie odznacza się posągami, złoceniami lub malowidłami, jest za to doskonale ciemny. To też jest on najlepszem polem popisu dla *cavalierów*.

Co zaś to znaczy *cavaliero*, najlepiej wytłumaczył mi mój don Manuel.

— Nasz kraj, rzekł on, mimo nazwy rzeczypospolitej i wojen odbytych o niepodległość, w skutek których wydobył się nareszcie z pod jarzma hiszpańskiego, tyle posiada prawie wolności co Rossja, bo choć niejesteśmy niewolnikami z nazwiska, jesteśmy niemi rzeczywiście, a to przecie na jedno wychodzi, jeżeli niejest stokroć gorzej. Tak jak w Rossji, my mamy po prawdzie dwie tylko klasy: szlachty i chłopów. Tylko że to się u nas inaczej odbywa. Kto tylko posiada trzydzieści piastrów, aby sobie kupił czarną suknię już jest *cavaliero*, a *cavaliero* ogromnemi przywilejami przodkuje nad człowiekiem z ludu. Może go wtrącić do więzienia, osądzić kazać, potępić i obiczować na placu publicznym, jeżeli mu się to podoba, zostawiając zapewne skaranemu prawo — apelowania. *Cavaliero*, jak ma tylko jaki taki chociażby pozorny majątek, tytułuje się zaraz, *synem znakomitej rodziny*, i w takim razie jego osoba, dom i ludzie są nietykalni. Suknie ma z Paryża, buty z Paryża, włosy ufryzowane z paryska; wszystko to ze szkodą tutejszych rzemieślników. Wszędzie w domu pełno zbytków, oczywiście paryskiego. Co się tycze strony moralnej, Cavaliero bawi się w brak wszelkiej wiary religijnej, rozumuje wiele o miłości, odgrywa role Lowelasa, zwodzi kobiety, bije mężów, wykrada dziewczęta, wąsiki nosi zakręcone do góry, jednem słowem wszystko to robi, co należy do jego stanu.

Pokazuje się tedy wedle obrazu dón Manuela, że i *Cawalierów* Chilijczykowie pożyczyli u nas.

(C. d. n.)

NAJNOWSZE DZIEŁA.

Kobieta z głową.

przez

Dr. Tripplina.

(Dokończenie.)

List ten, oddany na pocztę, ma być Adamowi wręczony właśnie u niej, gdy ona go do siebie zaprosi i wyciągnie z niego potrzebę pożyczki pieniężnej, którą mu będzie ofiarować i dopiero nagle wystąpi i powie mu, że jest matką Julii i zacznie robić wymówki i t. d. Cały planik może dobry, ale zupełnie nie nasz i bardzo przypominający zwykłe intrygi komedji i powieści francuskich. Dodać tu trzeba, że Adam by się nie zdradzić baronowi, mówił tylko, że potrzebuje pieniędzy na kupienie grafostwa i że będąc młodym i przystojnym, mimo całej nijakości swojej, dosyć się podobał żywej jeszcze i żyć pragnącej wdówce.

Powtarza tedy sobie pani Gewałtowska cały plan od A aż do Z i zaczyna się wszystko tak składać jak przewidziała. Pan Adam odbiera list w którym między innemi pisze guwernantka, że wszystkie nadzieje posagowe panny Julii dla jakichść przyczyn okazały się fałszywe.

Przeczytawszy to rozpacza, ale skrzywia się w końcu plan pani Gewałtowskiej, bo Adam po krótkim namyśle oświadcza się samej pani Gewałtowskiej i zostaje przyjęty. Każdy przyzna że to całe położenie jest okropnie naciągnięte, i ułożone z nienaturalną u nas a po francuskich powieściach oklapaną już pretensją do jakichś szczególności lub nadzwyczajności. W kilka miesięcy później jest już pan Adam ożeniony i najszczęśliwszy, bo pod najmilszym, najmiększym pantofelkiem swojej małżonki która już na majątku ojca mężowskiego te same cuda gospodarskie tworzyć zaczyna jak u siebie.

Wkrótce też i córkę bierze do siebie, będąc już pewną Adama i mając po temu planik gotowy. Ma mają-

tek sama, ma piękne w świecie stanowisko, a więc kobieta z głową postanawia dać jeszcze córce szczytne nazwisko, wydając ją za księcia Władysława, brata ciotecznego Adama, syna tej starej księżnej z Drezna. Poznają się młodzi ludzie i kochają się najczulej, bo się przecie musi sprawdzić przysłowie francuskie, które zdaje się stanowić podstawę całej powieści, a które opiewa: „że co kobieta zechce, to i sam Bóg uskutecznić musi.“

Idzie tylko o usunięcie trudności z starą księżną matką. W środku najczulszych zalecanek przychodzi piorunujący list od niej do syna, w którym przeklina go jeżeli zostanie mężem Julii. Cóż tu robić? każdy inny upadł by na duchu, ale nie kobieta z głową. Ona ma już nowy planik. Księżna pisze w tym liście że Władysław może tylko z księżniczką się żenić, a więc trzeba Julję na księżniczkę wykierować. I jak rzekła tak się stało. Pojawia się książe bakałarz, żeni się z Wężówną i adoptuje Julję za córkę. Poczem żenią się kochankowie i żyją sobie szczęśliwie. Jak widzimy koniec niespodziewany i mocno naciągnięty, a do naszych zwykłych intryg zupełnie niepodobny. Powtarzamy że w całem zawikłaniu i rozwikłaniu jest coś żywcem wziętego z życia francuskiego, bo chociaż i my w naszem życiu mianowicie wyższem, małpujemy francuzów, w pojawach jednakże tego życia odezwie się zawsze coś swojego, coś polskiego. W tej powieści prócz drobnych niektórych szczegółów, które właśnie są najlepsze, całość każdemu przypomni układ świata powieści francuskich. Niemniej przeto oddać należy sprawiedliwość talentowi pana Tripplina, który i w tej powieści występuje w żywych dialogach i humorystycznem nieraz przedstawieniu rzeczy. Styl jak zawsze prawie trąca jeszcze nawyczkami, w czasie długiego za granicą mieszkania nabytemi.

Teatr polski krakowski.

(Dokończenie.)

Całość sztuki, bardzo obfita w wypadki, w zmiany dekoracyi (które nielitościwie niezgrabnie się u nas odbywają) w deklamacyjne ustępy, szybkością akcyi zająć tylko zdoła. Charakteru tam wybitnego żadnego niema, wszystkie do jednej potęgi wyniesione, walczą jeden z drugim, neutralizują się zobopólnie. Pomimo tego, role przez to już samo może są bardzo pracowite, sileniem się na ciągłe, coraz wyższe wrażenie, tem mozolniejsze. Co do oddania ich, zgodzimy się tym razem z *Czasem* że było wiele przesady, że zamiast powagi krzykliwość, miasto tragiczności jakieś groźne ruchy i górna deklamacja, a zamiast wrażenia śmiesznego, uczucie politowania ogarniało na widok niepojętej komiki, skakaniem, wierzganiem nogami zastępowanej. Ale uniewinnieni są aktorzy w oczach naszych z tych błędów, bo wszystko łatwiej niż osoby historyczne przedstawiać. Do tego trzeba dużo studjów, pracy, nauki, wszechstronnego wykształcenia, trzeba wreszcie te tylko role grywać.

W każdym razie, choć treścią słaba, układem nie wytrzymająca krytyki, a oddaniem nie wykończona, *Anna królowa Francyi* jest przydatna w repertoarze, choćby dla parteru i galeryi.

Nazajutrz dnia 15. b. m. na otwarcie nowego abonamentu niejako, ujrzeliśmy *Żydów* Korzeniowskiego. Także już znane, ale zawsze miłe, zawsze prawdziwe, na rodzinnej ziemi zbierane wzory społeczeństwa. Nic dziwnego że i odegranie ich było zupełnie zadowalniające.

Pan Pfeiffer np. był dziś daleko prawdziwszym szlachcicem polskim, co to serce i charakter ma poczciwe, uczucie godności przedewszystkiem, a prawdę każdemu śmiało tnie w oczy, niż wielkim królem francuskim wczoraj. W podobnym stosunku była reszta grających. A szczególniej *Ładnowski* wykończoną śliczną grą Arona, zatarł owe niemiłe wrażenie o którym wspominaliśmy poprzednio.

O *Szturmie* jako świeżo w tym roku występującym to nadmienię, że pierwszem wystąpieniem w ktorem miał jedynie stosowną rolę, zjednał sobie wszystkich, ale na nieszczęście, nie utrzymał tego uczucia dla siebie ciągle. Bo choć nie można zaprzeczyć że się roli nauczył, że ją wypracował, że wszystkie zwroty są wystudjowane starannie, z gry jego przecież wieje jakaś zimna, lodowata atmosfera, nie ma lekkości, niema tam promienia ożywczego. Póty gra, póki mówi, ale ledwie skończy, nie jest już bohaterem lecz znowu panem Szturmem. Grywa role lekkie, rzutne, role kochanków; to też choć powie kochance głosem bardzo wyuczonym, czułym, z ręką zgrabnie na sercu położoną, że ją kocha, znać że kłamie, że na scenie. Kto wie, gdyby grywał role trudniejsze, starsze, byłby może daleko lepszym.

Pani Rywacka śpiewała już i na Lwowskiej scenie. Jak nas dzisiaj tak i was wtedy musiała czarować swą śliczną metodą, obszernością skali głosu, rozlicznemi odcieniami mowy i delikatności, przejść, skoków i rulad, i bądź w śpiewie dramatycznym opery, bądź w lubo-tęsknym mazurku lub wesołej piosence. A tak budzi nas tylko obowiązek podziękowania Dyrekcyi że ją dała poznać swojej publiczności w Krakowie.

a.

Rozmaitość.

* Sakowski, znany szewc Napoleona. zebrał jak wiadomo ogromny majątek i przyjmowanym był we wszystkich znaczniejszych towarzystwach kupieckich. Sakowski słynął jako miłośnik muzyki, a nawet znawca. Zdarzyło mu się słyszeć pewnego razu grę na fortepianie znakomitego artysty i dziwaka zarazem, Sznejchefera. Sakowski prosił, aby go z nim poznajomiono i zaprosił go do siebie. Po sutym obiedzie i dobrych winach Sakowski bez ceremonii zwrócił się do artysty: „No duszko! jesteś syt chwała Bogu! zagraj nam więc cokolwiek, zobaczem jak się popiszesz.“ Sznejchefer zmarszczył się i z zdumieniem spojrzał na spanoszonego szewca

„No, nie wstydź się!“ mówił dalej szewc, „idź graj, pokaż co umiesz! Jakaś myśl błysnęła na twarzy artysty, uśmiechnął się, poszedł do fortepianu, zachwycił wszystkich i nader był wesół i uprzejmy, aż do samego wieczora. W kilka dni potem, nasz szewc otrzymał od niego zaproszenie na obiad. Sakowski stawił się punkt o naznaczonej godzinie. Po objedzie Sznejchefer wyszedł na chwilę i wrócił z parą podartych butów. „Co to takiego?“ zapytał z kolei zdumiony szewc. „Stare bóty!“ „Widzę że stare bóty, ale na co ich pan przyniósłeś?“ „Na co? śmieszne pytanie? Ja grałem u pana i pokazałem swoją sztukę; proszę o wzajemność; racz naprawić mi bóty. Nie wstydź się! będzie to tylko wet za wet!“

* Dwóch gramatykarzów sprzeczało się, jak pisać, czy o s i o ł, czy o s i e ł; jeden dowodził że przez o, drugi że przez e; ktoś słysząc to zawyrokował: „O co wam idzie, ty się pisz przez o, a ty przez e i będzie zgoda.“

* W poniedziałek komitet towarzystwa gospodarskiego mianował pana Żelkowskiego, byłego profesora agronomii w Grignon we Francyi, i p. Niesiołowskiego, ucznia politechniki wiedeńskiej i byłego tamże adjunkta chemii, profesorami przy zakładzie gospodarskim w Dublanach.

* W sobotę opuści prasę **nowy kalendarz lwowski**, wydany staraniem redakcyi Nowin a nakładem K a r o l a W i l d a.

S Z A R A D Y.

1 Pierwsze, czwarte, dobrze wiecie.
Że są obie w alfabecie.
Drugiego z czwartem szukaj w ptaków rzędzie,
Prędzej na drzewie, niżeli na grzędzie.
Trzecia wraz z czwartą, rzecz smaczna i znana,
Lecz za dni kilka będzie zapomniana.
Wszystka ostatnim cząstkiem jest całości,
Z mięsa i z gliny, z chleba, z bułki, z kości.
Jednem słowem z wszystkich rzeczy,
Nikt nam tego nie zaprzeczy.

2 Pierwsze i trzecie rosną, lecz nie wszędzie przecie,
Drugie zaś oraz trzecie, najsmaczniejsze w lecie;
I wszystkie także w różnych postaciach jadacie,
Nie tylko do pieczeni lecz nawet... w herbacie

Przyjechali od dnia 22. do 23. Października do Lwowa.

PP. Jaworski Mikołaj, z Kobyliniec. Padlewski Alex., z Dołhego. Padlewski Szczepan, z Krakowa. Dobrzański Fabian, z Milatyna. Doliniański Sylw., z Dolinian. Krasnopolski Karol, z Potoczyniec. Remer Erazm, z Zaszkowa.

Wyjechali od dnia 22. do 23. Października ze Lwowa.

Br. Hagen, do Krakowa. PP. Czajkowski Jan, do Pietniczan. Arzt Edward, do Przemyśla.

Lwów, 24. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 37 złr. 30 kr. do 39 złr. 45 kr. — Żyta po — złr. — kr. do — złr. 30 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 11 złr. 15 kr. do 15 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 16 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 10 złr. — kr do 12 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 44 złr. 10 kr. do — złr — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 40 złr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 5 kr. do 2 złr. 30 kr. — Centnar słomy 1 złr. 53 kr. do 2 złr. 20 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity beopłaty 4 Złr. 5 kr. do 4 złr. 20 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 24. b. m. o g. 2. popołud

Augsburg za 100 złr. .	$113\frac{3}{8}$	Pożyczka 5%	$74\frac{11}{16}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{3}{8}$	Akcye banku	1005
Londyn za 1 funt szterl.,	11 2	Kolej północna	$2017\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$112\frac{1}{2}$	Obl. ind.	$66\frac{7}{8}$
Paryż za 300 franków .	132	Nowa pożyczka z loterya	$97\frac{7}{8}$
Agio duk. ces.	$18\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$78\frac{5}{3}$

Wczorajszy Kurs Lwowski Gotówka towarem.

	Gotówka				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	14	złr.	5	kr	17
Dukat cesarski	„	5	„	17	„	5	„	20
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	2	„	9	„	7
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	44	„	1	„	45
Talar pruski	„	1	„	40	„	1	„	42
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	15	„	1	„	16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	—		91	„	15
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		66	„	40	„	67	„	—
5 proc. pożyczka narodowa		78	„	—	„	79	„	—



Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**